

STEFAN ŻEROMSKI

Słowo o bandosie


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN ŻEROMSKI

*Słowo o bandosie*¹

W podgórskich, kamienistych działkach kieleckich, na jałowych sapach, przez które syczy się zaskórna woda z żelaznych rudawisk, na radomskich piaskach podsośnianych, na opoczyńskich krajach — smętniskach, gdzie się „korzec sieje, kopę zbiera, a kopa korzec daje” — hoduje się dola bandosa. Siedzi przykucnięta w brózdzie, pośród zczerniałej ziemniaczanej naci, kędyś pod jałowczykiem, kędyś pod kępą łopianu, na wąskim wygonie, między owsem a żytkiem, — jako pasturka, łachmanami od oka ludzkiego okryta, workiem od dżdżu. Tuła się wzdłuż gościńców, po rowach kurzem przydętym, wyciągając ku bryczkom przejeżdżającym obdartą chłopczyńską czapczynę. W kłębuszek skręca się z choróbsk tajemnych po zapieckach i werkach izb — szkarlatynek. Patrzy długo z za przepalonych szyb czworacznym na przejeżdżających paniczów wielkimi, straszniemi, oczyznianymi oczami. Płyne w białej trumience, pomalowanej lubryką pod rosą święconej wody u kościelnego proga i na ugór cmentarny.

Gdy się poczyna okrutny, nikomu i niczemu nie przepuszczający przednowek wychodzi w dal, — za Pilicę — rzekę, za Wisłę — rzekę, „w pszenne kraje”.

W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszala, oślepla, kudłata babka, koślawiec, niemowa, lub obląkana latawica. Bywa wtedy, że opuszczony stary człowiek prosi się z głodu i biedy o śmierć, jak o łaskę. Bywa wtedy, że bezsilni ludzie żywią się mąką z kory olszowej w żarnach mielonej, mleczem ziarna ledwie okwitłego żyta, garsteczką kaszy mannianej o białej rosie osmykniętej na cudzej łące.

Ciemne chaty z nisko nawisłym czarnym dachem, głucho zamknięte kluczem drewnianym na wrzeciędz bukowy zostają same. Drożyny od gościńca do drzwi prowadzące zarastają trawą. Ze wsi ucieka ostatni towarzysz schroniska ludzkiego — wróbel. W inną okolicę wynosi się opuszczony pies.

A za Pilicą, za Wisłą, w „pszennym kraju” słońce pali bandosa grzbiet, zgięty od świtu do wieczora. Twardy jest trud całodzienny na skwarze w pańskim polu! Jak mgnienie oka krótki jest sen w parną noc letnią. Od rannej zorzy po sierpem zajętem zbożu rozlega się surowa i wrzaskliwa bandoska pieśń:

«Dobrze temu dobrze, kto kómu łeb odrze,
Jesce temu lepij, kto kogo oślepi»...

Łał się bandosa pot cuchnący w szmaty zgrzebne i w rudą jego sukmanę przez wieki. Żarło go robactwo, okrywał brud i osaczała ze wszech stron tajemnicza choroba, żeby pańskie dzieciątko jaśnie świeciło zdrowym ciałkiem i galanto uczesanemi włoskami. Wyklęczały jego kolana żłobowiny głębokie w kamiennych posadzkach wysokich kościołów, wycalaowały jego usta jakoby nowe rany w Pana Jezusa przebitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojnie mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spojrzeć na cichy swój lud, a pięknego pogładzić węża.

Taka jest przez wieki nasza rzecz-pospolita.

Plakał ongi, przed wieloma wiekami nad żalosalną dolą żeńców polski poeta:

«Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego:

¹*Słowo o bandosie* — utwór został opublikowany przez Stefana Żeromskiego pod pseudonimem Maurycy Zych. [przypis edytorski]

Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemuby się zdało,
Żebyś ty, o słoneczko, o północy wstało»...²

A czy też kiedy w dalekiej przyszłości polski bandos dołą swoją w kamieniu wykłęczą? Czy ją wyciągnie z pana Jezusowych nóg gwoździami przebitych? Czy ją wydepce opuchniętymi nogami z nieskończonych kolein drogi między swoją czarną chatą a dalekim, pszennym krajem? Czy też ją ostrą kosą wykosi z wonnie szumiących traw, czy ją kiedy wyrznie sierpem pracowitym z jarego zboża świętej ojczyzny? Kiedyż ustanie skarga żeńców, lecąca po rannych rosach z pokoleń na pokolenia? Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylną ku zbożu dostalemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej nie mój, ani twój, ale nasz, ojczysty?...

„Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego”.

Zdarzyło się onego czasu, że daleko — daleko szedł bitymi gościńcami samotny wiejski chłopczyna.

Wracał do domu w kieleckie góry. Pojęli go byli ze sobą ludzie we światy, bo w chałupie zawartej na głucho, nie miał przy kim pozostać. Żał we żniwa z innymi, wiązał, dźwigał snopki i układał we sterty. Napatrzył się pięknych paniczów, harcujących ścierniskami na spasionych kucach, nadziwował się pannom, bokiem dosiadującym dzikiego ogiera, naślepiał się na pałac wielkookienny. Śpiewał panom podchlebne pieśni w dożynki...

A gdy ludzie po żniwach wracali i uszli już mil wiele, rozpuchła mu bardzo w kostce prawa noga. Szedł, utykając, z wielkim pośpiechem, żeby nadążyć. Bardzo się ludziom śpieszyło do chałup, więc go z jednego noclegu odeszli. Włókł się tedy sam daleką, obcą drogą...

A jechał oną drogą na siwym koniku panicz wesoły. Zobaczył bandosa, siedzącego nad rowem, jak se głowę układał na pościeli z przyzmy kamieni szosowych, i z ciekawości zlązł ze swego konika. Zagadał. Popatrzał na nogę spuchniętą, wejrzał w tajemnicę oczu zamglonych... Przepytał się, jak i co. Poczuli obadwaj gwarzyć pomiędzy sobą. Gdy konik siwy szczywał trawkę przykurzoną, wszystko paniczowi bandos odpowiedział: — o długości dnia, gdy się z sierpem na kłęczkach idzie przez nieskończoną niwę, — o głodzie przedwieczera i dobrotliwych zachodach, — o smaku niewysłowionym zimnej wody we dzbanie, — o bardzo krótkiej nocy i świetle niezbląganym, — o chłodzie rosy porannej, przez którą stopy brną z noclegowiska na niwę, — o rozpuchniętej nodze i zabijającej duszę długości nieznannej drogi, — o zimowem wzdychaniu podstrzesznem, o komorniczem tęsknieniu ku onej pracy przednowkowej na znojnem pańskim polu, — i o dróżce zarośniętej pod progiem czarnej chałupy...

Zaszklity się paniczkowe jasne oczy i sposepniała wesoła twarz. Siadł obok, tak samo na pościeli z kamieni, głowinę położył i słuchał. Tak się ta wtedy na wieki wieczne rozmówili bandos z paniczem.

Coś sobie szeptaną mową zaprzysięgli wraz. Aż do zgonu. Panicz wziął w swe piersi serce bandosa, a swoje w jego piersi wcielił.

(Poczuł snąć w sobie wtedy po dziadach, pradziadach ocknione widziadło, wykłętą, wykadzoną zmorę: — duszę rycerza.) Krwawą bandosa dołą przypiął sobie do lewego boku, jak zardzewiały, w ziemi wykopany brzeszczot mieczowy. Rąbać nim poczwał z ramienia ślepemi ciosami mrok zagęstniały i zdawna narosłą przemoc w ojczyźnie.

Wtrącał się wszędzie, był wszędzie, poeta, błędny don-kichot, Rycerz — Bandos.

Deptał strudzonemi nogami wszystkie gościńce idejów, swoją własną żadnej nazwać nie mogąc, bo oczy niedościgła porywała dał, a stopy palił sandał z płomienia.

Wdzierał się na niedościgłe percie wykłętych marzeń, na strome, w skałach kute stopnie poznawania, na śmiesznie zawrotne urwiska złudzeń potęgi.

Nad nim i nad bandosem jedna była dola i jedno niebo. Ścigał ich tęgi, zdrowy śmiech, urąganie, wyzwiska, potwarze i wszystkie groźby, od najprostszej, najpocziw-

²*Słoneczko, śliczne oko...* — fragment *Żeńców* Szymona Szymonowica. [przypis edytorski]

szej, międzyzdrowskiej, aż do bardzo złożonej, nowoczesnej, niemej, mówiącej jedynie polyskiem z zanadru noża skrytobójcy.

Był czas, że bandos oślepił oczy podnosił od gnoju wywalanego na pańskie pole, odjął ręce od pługa, przewracającego zagon cudzy. Z klątwą wściekłości na spękanych wargach wyprzął się był z pańskiego kieratu i wyszedł z czworaczego chlewa, gdzie się jego dzieci pospołu ze świniami tarzają.

Ruszył wtedy za przewodnikiem.

Ten zaś, kto mu przewodził, opierał się na nim.

Jest bowiem w Polsce zasada najżywotniejsza, że ilekroć kto przewodzić zamierza, na kimś „opierać się” musi.

Jeden opiera się na księżach, drugi na fabrykantach, trzeci na szlachcie, czwarty na żydach, piąty na chłopach, szósty na robotnikach z fabryk.

Był i taki, co się nawet „oprzeć” postanowił na tobie, — żał się Boże! — parobku.

Nie wiedział ciemny bandos, że nie trzeba było takiego słuchać i za tym iść, kto się na innych opiera.

Nie wiedział, że taki schlebia tylko nędzy, żeby szła za nim i waliła się pod jego stopy, a on zaś stanie na niej, jako na wzniesieniu. Jakże to miał poznać bandos od brudu i nędzy oślepiły, kto z wodzów ma duszę czystą i ręce czyste? Miał-że odepchnąć pochlebę i wybrać tego, co nie nosi w ustach miodu, lecz gorycz? Jakże miał w tłumie pochlebców poznać tego sprzymierzeńca, co uderza płomiennym słowem w motłoch klechów, w motłoch szlachty ze dworów, w szajki fabrykantów, w gromady chłopów, co na swych morgach siedzą, w żywe masy robotników z fabryk, a nawet w pierś niezakrytą jego, bandosa, który jest najbardziej ze szmat obdarty w ojczyźnie, chudy jak Chrystus z przydrożnej pasyjki, — jego co swoją nie może nazwać łyżki drewnianej, którą warzę do ust niesie, barłogu, na którym nie dosypia i grobu, w którym po trudzie ma spocząć!

Jakże to bandos miał wyrozumieć i pojąć, że ten jeno mówi prawdę godną posłuchu, kto motłochowi nie schlebia, że ten jeno mówi prawdę godną posłuchu, kto idzie przeciw motłochowi z żągią prawdy?

Jakże to miał poznać, że ten jeno mówi prawdę godną posłuchu, kto się na nikim nie opiera, lecz się opiera na samym sobie, — kto samego siebie przeciwstawia motłochowi!

(Choćby tłum świstał, choćby wył, choćby się zwał w bojkot, w ogłodzenie, choćby przekupywał skrytobójcę — on uśmiecha się do swojej prawdy).

Jakże to miał poznać ciemny bandos, że tylko ten głosi prawdę godną posłuchu, kto wzywa do walki o każdego cierpiącego człowieka, o wolnego człowieka, o cały tęskniący a uwięziony wolny duch. Albowiem tylko ten wyniszczy w Polsce nasienie czarnej seciny.

Czasu owej dziwnej jesieni, jesieni, co była jakoby w klepsydry włoskowata cieśnia, przez którą miała się z jednej otchłani czasu przesunąć w inną nieznaną wszystka zawartość dziejów plemienia — Rycerz — Bandos dał się unieść złudzeniu. Pod górą, przedwiecznym grodziskiem, wśród łąk stał na mównicy.

Jak najcudniejsza łąka stał się lud ze wsi dalekich, z miasteczek, z izb rzemieślniczych, z nor nędzarzy. Wśród tłumu stała szlachta z pałaców i dworów, „inteligencja” rozmaitych zawodów. Nad głowami wszystkich powiewały symbole braterstwa idei. Rycerz — Bandos mówił na temat tej prawdy, wyszarpanej z męczeństwa przez poezję polską:

«Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem, domem, obyczajem,
Państwa zgonem, albo zjawem,
Ale cnotą, ale prawem»...³

A kiedy, zstąpiwszy z mównicy, szedł z odkrytą głową w wielkim tłumie chłopów, rękodzielników, wyrobniczego mrowia, parobków i nędzarzy, śpiewających pieśń radosną,

³Ty nie jesteś mi już krajem... — fragment *Przedświtu* Zygmunta Krasińskiego. [przypis edytorski]

kiedy patrzył na szczyty drzew przed wiekiem sadzonych, które zdawały się wyciągać ku niebu konary i witkami śmiać się ku chmurom, mówił do duszy swej:

— Nareszcie, teraz nareszcie złączyło się rozdzielone serce ich! Okaże teraz szlachcic polski wielkość duszy, która przecie samą siebie w trudzie tylu lat przewyciężała. Odpasze wreszcie zlotolity pas i zrzuci z ramion kontusz czerwony. Zstąpi w piastowski lud i stanie się ludem. Najpierwszy jego narodowy czyn będzie zniesienie aż do najdalszej granicy nędzy parobków, podźwignienie aż do chrześcijańskiego współnictwa we wszelkiem dobru robotników rolnych. Nie przymusowe, lecz dobrowolne wywłaszczenie! Będzie wśród nas milczący majestat wielkiego uczynku, gdyż będziemy jeden lud, szarpiący w ciszy powrozy swych nałogów, zdzierający wrosłe w ropę ran przepaski złudzeń. Prawo, które teraz wpośród nas jednogłośnie, starym obyczajem zapadnie, zaświeci w mroku świata, jak na początku Szczerbiec, trzaskający w bramy wschodu. Niechaj śpią kości, rozmięcione po okręgu ziemi! Niechaj spoczywają pod błogosławieniem popioły rozsypane. Tak się daleko, tak szeroko, tak głęboko musiał rozpostrzeć polski duch, żeby mógł samego siebie przemódz i zwyciężyć. Wszystko się dobrze dokona na użyzionych popiołami rolach! Nie trzeba w Polsce rewolucji socjalnej. Kto pierwszy znalazł *liberum veto*, ten pierwszy zniweczy na ziemi rewolucję socjalną. Rozpustne swoje hasło: — „zastaw się, a postaw się!” — przemieni szlachta polska na najwyższe hasło świata. Zastaw się, jak wygnańce w ziemię cudzą i w ziemię sybirską! Nie zostaw sobie nic prócz wielkości duszy. „Zastaw się, a postaw się!”, jak owo światełko w zwałisku, jasna zorzeńka ojczyzny nowej, hetman kresowy opuszczony od wojska, umarły na dzikim polu, Stanisław Worcel. „Zastaw się, a postaw się!”, jak Joachim Lelewel, który w izbie nędzarza mieszkał i bluzą robotniczą grzbiet nakrywał, a obdarzył naród zwierciadłem jego dziejów; — jak Bronisław Trentowski, który nie miał za co kupić książki potrzebnej do badań, a zostawił po sobie niezniszczalny gmach myśli; — jak Adam Mickiewicz, który zastawiał kopertę zegarka, żeby dzieci wyżywić, a darował plemieniu świętą koronę jego bytu i niezniszczalną na wieki konstytucję; jak ów Cyprian Norwid, ośmieszony, nieznany, który umarł w przytułku, a zabrał ze sobą odtrącone przez dzicz księstwo poezji, dziś na nowo przygarnięte i wrosłe w świętą koronę; — jak ten za naszych dni czysty przechodzień z góry ducha, przynoszący obłudnym faryzeuszom pozew przed ołtarz, Antoni Szech, który nim słowo zwiastujące mówić począł, oczyścił się w zimnej kąpieli czynu: sprzedał, co miał, i wykupił nieszczęsne dusze, jęczące w jarzmie rozpusty; — jak Stanisław Witkiewicz, co chudą swą ręką, między jednym a drugim krwotokiem pracując, zabudował kraj własnym węglem i nakrył go własnym dachem, — a sam mieszka w zimnej izdebce góralskiej...

W istocie, w istocie...

Zaledwie rok upłynął od owej chwili, gdy panowie dziedzice w „pszennym kraju”, w pięknej ziemi lubelskiej, zjechali się wielką gromadą w wiekopomnym grodzie Lublinie. Głęboko, w tajemnicy radzić poczęli nad tem, jak, w jaki sposób odebrać drobną podwyżkę parobczańskiej płacy, którą byli parobcy w lecie na panach znową wymogli. Nałożyli na siebie panowie dziedzice niemały podatek od włóki dla złamania solidarności parobków.

„Zastaw się, a postaw się!”

Ktokolwiek do znowy ucho podawał, dostał od dziedzica znaczek sekretny, cyferkę na książce służbowej, herb nowo nadania. A każdy taki herbowy wyrzucony został ze służby na zimę. Z książką swą, oznaczoną tajnym, niewiadomym mu herbem szedł od dworu do dworu, szukając pracy, dachu nad głową, czworaczego chlewa, w którymby jego dzieci barłóg mieć mogły i ciepło zimowego smrodu. Lecz wszędzie go wyszczuwano za bramę. Śmiech go ścigał. Wszystkimi drogami pszennej krainy, ślicznej ziemi lubelskiej snuły się kompanie głodnych wygnańców.

W taką formę, w taką „cnotę” i w takie „prawo” — odlała się nasza wola w tych dniach powiewu swobody. Mądrzy są polscy panowie.

Zupełne jest ich zwycięstwo. Złamali solidarność znowy ku podwyższeniu płacy o parę rubli na rok, o parę korcy ziarna na życie, o krótszy dzień roboczy, — odtrącili i wdeptali w ziemię żądanie ochrony dla dzieci, lepszego traktowania dla siebie, lepszego chlewa na legowisko. Głęboki rozum panów wszystko w tem dziele „narodowym” prze-

widział. Wrócił się parobek złamany do ich kolan. Padł do nóg pańskich. Znowu musiał przyszwę buta ucałować. Jęcząc, błagał, żeby go znowu na dawnym prawie do kieratu wziąć za płacę, jaką dać raczy dłoń pańska i żeby mógł w czworacznym barłogu znaleźć legowisko.

Niesie teraz na barach schylonych głuchą, okrutną, ciemną swą zemstę. W duszy dźwiga niewypowiedziany ciężar sprawy przegranej, kamień żarnowy. Bo to on dźwiga teraz ciężar sprawy przegranej! Dla niego, paryasa obdzieranego ze szmat, pozbawionego prawa do nauki, autonomiczna wolność — to przecie nic innego, tylko dostateczny kawałek chleba, krótszy dzień pracy, szacunek dla jego człowieczeństwa, wyższa zapłata za pracę i prawo do oświaty.

Kiedyż kłamstwo nasze uzna tę prawdę?

W głuchej nocy swego tułactwa po dalekości dróg, na skutek bezrozumnej zemsty dźwignął bandos kamień żarnowy, przytłaczający serce. Szaloną z rozpaczony dłońią, ze straszliwie skutecznym przekleństwem cisnął go na środku drogi.

I potknęło się o kamień ten Szczęście polskie, Ojczyzna nasza.

A u końca tych dwu nadzwyczajnych lat — cóż my o sobie powiedzieć możemy? Cóżśmy uczynili z użyczenia losu? Cośmy podlego zwyciężyli w sobie, wytępilli nikczemnego, cośmy stworzyli na nowo z nicości? Jakież jest znak woli naszego ducha, któryby można palcem wskazać, jaki symbol wewnętrznej potęgi, do któregoby przypaść mogło serce? Czy choć granitowa potworność ślepego czynu?...

W ciągu tych dwu nadzwyczajnych lat można było przekonać lud, że nasza myśl, nasze marzenie, nasz sen o przyszłej ojczyźnie jest jego dobrem.

Można było wymową wszystkich ust przekonać lud, żeby on swoją dolę wziął z naszych rąk w swe ręce.

Można go było zakląć, żeby świętą koronę z cierni, zeschłej krwi i beczennych werwetów po naszymu uczcił i po swojemu do piersi przytulił.

W ciągu tych dwu nadzwyczajnych lat można było pokryć kraj siecią stowarzyszeń współdzielczych. Można było spoić stan robotniczy związkami zawodowymi w olbrzymie, żywe organon, które tyłem zwrócone do wszelkiej polityki, wytraciwszy z dusz nienawiść proletaryusza do proletaryusza, przede wszystkim byt jego zasadziłoby we wspólnotę, jak drzewo owocne w ziemię. Można było założyć setki kół rolniczych, któreby tworzyły wielką kooperację rolną. Można było w głuchych, brudnych, odrażających mieścinach tworzyć związki rzemieślniczo-rolne. Można było zbudować tysiące szkół i ochron. Można było przecie rzucić w tę pracę wszystkim entuzjazm i wszystkim polski majątek, aż do ostatniego szeląga. Można było stworzyć centralne muzeum społeczne i łańcuch muzeów prowincjonalnych. Można było budować szkoły rolne, sale wykładowe, teatry wiejskie, sale wystawowe i oddawać sztukę polską ludowi.

Ale my przecie, jak wiadomo, jesteśmy „ubodzy”.

Nas „nie stać”.

Martwym odłogiem leży ziemia. Naród nasz nie chciał przewyciężenia samego siebie, przełamania swojej nie — woli, która leży wprawdzie i nazewnątrz, lecz nadewszystko leży w duszach.

Gdybyż, jąwszy się z takim entuzjazmem kontrrewolucji, klasy „przodujące” w narodzie wydały były ze siebie siłę innego porządku, któraby nowem tworzywem napelniła życie!

Jakąż one wykazały siłę?

Na Macierz Szkolną, wezwane przez najtkliwiej jakoby umiłowane zawołanie nie złożyły dwustu tysięcy! Nie zdobyły się na najniższą, najelementarniejszą cechę czynu społecznego, na ofiarności grosza, na obcięcie budżetu zbytów. Dwu, trzech magnatów o milionowych dochodach rocznych mogło ugruntować oświatę w kraju. Ale tu nikt nie żywi żadnej pasyi, żadnej ambicyi milionera amerykańskiego. Społeczność ta umie tylko i chce leżeć beczynnie, jak szlam w stawisku, — płynąć biernie po szlakach najslabszego oporu, jak zaskórna kurzawka i beczeć, jak stado owiec, gdy bat na grzbieci spada. Mężny samotnik jest tu zawsze między gruntem a niebem na poprzecznem drewnie, obrzucony kwiatami przekleństw, — nowator, zapuszczający pług głęboko w nowinę

namuliska, zbojkotowany, ogłodzony i bryłami oszczerstw zawalony w żebraczym dole. Pan tylko zawżdy „rządzi” w pomroce chłopstwa ku swej korzyści i wygodzie przez fagasów, trzymających się jego klamki. Biskup odprawia publiczne modły o odwrócenie klęski powszechnego głosowania, a rabin nakazuje post trzydniowy o odwrócenie klęski rozwoju kooperatyw spożywczych.

Kto przeczytał nieustraszonemi oczyma dzieje końca Rzeczypospolitej, ten wie raz na zawsze, czem była i jakie przyniosła owoce przemoc możnowładcy. A przecie od tego samego, na czem się wszystko skończyło, od przepłacania na sejmikach ciemnych, pijackich band przez żądnych władzy magnatów, po upływie stulecia z górą miało się zacząć.

Znowu przepłacanie ciemnych band motłochu dla zduszenia „ducha leżącego pod męką ciał”... Przybyło tylko, czego przed wiekiem nie znano — dziennikarstwo. Słowa: „Polska, ojczyzna, naród, kraj, społeczność” — poczęły służyć do tego celu, żeby snobizm ciemnego tłumu mógł być podżegany skutecznie, a interesy magnatów i bankierów osłonięte sztandarem. Przez pewien odłam dziennikarskiego motłochu święte wyrazy zostały shańbione i pozbawione wewnętrznej treści. Zbezczeszczone zostały najtkliwsze dźwięki popowstaniowego języka, dostojnej mowy, w szkole milczenia zahartowanej, jak płytka stal, chowanej na piersiach, jak ryngraf.

Nazwy idei nie to w niej dziś znaczą, co znaczyły i co znaczyć powinny. Należałoby stworzyć nowe Słowo, nowy ornat i nową mitrę dla niezniszczalnych idei.

Lecz któż może posiadać tę moc? Kto się poczuje na duchu, żeby skinieniem szpady zniweczyć bezwład wewnętrzny. Nie — wołę dusz? Żeby przemówić? Do kogo mówić? Słuchacz — to Walgierz Udały. Jakież i czyje słowo podźwignie jego senną głowę, zgnuśniąłą prawicę? Któż mu każe, żeby lachman swój zwłókl i wstał z barłogu, jak duch?

Nie zrozumiany został przez to pokolenie ten, co po promieniach uczucia wstępował w niebiosa i na serca wyzywał Boga, czterokroć nowator, niepokojący świat aż do zgonu. Jego siwa, bodze — podobna głowa opatrzyła się oczom, lecz jego święta w ludzkości dusza, jego lwia wola obca jest i wydziedziczona z posłuchu. Czy został wchłonięty przez plemię ów drugi, nieustraszony Warneńczyk w przestworach ducha, co roztrącał przez życie mieczem mękę ciał i okazał, jak duch korzysta z mogił? Ich mowa, złożona z płomiennych języków siania się, jak błędny ogień nad bajorem dwudziestomilionowego narodu.

Do kogo przemówią wielkie żywoty, godne pióra Plutarcha albo Carlyla, nieznane dzieje trudów Hoene-Wrońskiego, Worcela, Nabelaka, Libelta, Trentowskiego, Konarskiego, Rufina Piotrowskiego, Gustawa Erenberga, Aleksandra Krajewskiego, Szwarczego i tylu innych, których pokryła noc niepamięci? Jaki został ślad po tych, którzycheśmy mieli szczęście pośród siebie widzieć, po Maryanie Bohuszu i Bolesławie Hirsfeldzie, Synach nieśmiertelności? Rzucali w otaczające bajoro wszystkie wybuchy ognistej woli, która ich trawiła, wydarli ze siebie z korzeniem dusze, a oddawszy je na karm żarłocznej ciemności, pokonani przez rozpacz, w tajemnicy zadali sobie mężną śmierć. Do kogo przemawia wysokie słowo Stanisława Witkiewicza i Stanisława Wyspiańskiego?

Przemówi do nich napewno „polityk”, gdy cuda sprytu, podpatrzone przez dziurkę od klucza w pruskich urzędach policyi i galicyjskich cyrkulach przyniesie na te piaski i nauczy skrytobójców, jak „bratnią krew przelewać”. Trafi do dusz, gdy o tych swoich dokonanych czynach i gigantycznych zamysłach wygrania „wojny domowej” w publicznej mowie, z bajeczną genialnością zda sprawę. Przemówi do nich pierwszy z brzegu kauzyperda postępu czy reakcyi, byleby umiał migotać znanymi frazesy, byleby zapewnił, że on za wszystkich wszystko „załatwi”, a społeczność polska będzie miała nietknięte dochody, umiłowany bezwład, spokój od nowatorów, wybory, karnawał i operetkę.

Przemówi do nich poliszynel wiecowy, podniecający na tle rozwartych kloak wyborczych tłum katolicki na tłum żydowski i tłum żydowski na katolicki, byleby umiał sprawić ten skutek, żeby wola karyerowicza stała się wolą biednego i ciemnego pospółstwa.

Spuścił krzyżak czarną przyłbicę i wywłócił z zanadru puginał. Zadał w nieokryte piersi polskiego chłopca cios nieomylny. Oparł się o ziemię rolnik poznański i ku nam spogląda, nim wyda krzyk swój śmiertelny.

A u nas — żebranina u drzwi szlachetnego cudzoziemca o kość litości, o odczepne, dobre słowo, — gadanina wiecowa i rezygnacyja, dyrektywa dusz naszych.

Wyciąga po nocy poszukujące dłonie i ciężko wzdycha w ciemnej niewiedzy ocknięty lud po chałupach mazowska, podlasia, małopolski. W zapadłych wioszczynach pracują młodzi chłopcy, przedzierzgnięci w obywateli, z mozołem ponadsilnym zakładają szkółki, tworzą czytelnie, borykają się za bary z mrokiem i głupotą otoczenia.

Przepływa przez zaułki Warszawy, Łodzi, Zagłębia rozbity, złamany lud. Zdruzgotane są święte nadzieje. Ileż sumień zaprzędanych! Był popyt na znikczemnienie, jest teraz podaż. Jak szczerły włók, coraz szerzej rozszerza się ciemność ducha w głębi bezdomnego pogłowia.

Coraz głębiej, aż do ostatniej granicy przechodzi pęknięcie przez serca samotne, które trwogi nigdy nie znały. Patrzyły na zawodność każdego z widziadeł ducha, a teraz mają poznać ostatnie polskie rozczarowanie, przed którego stwierdzeniem truchleje słowo.

Tylko egoizm nie stracił pewności siebie. Wdziewa teraz najuroczyściej biały swój płaszcz, nakłada biret. Wstąpiwszy w środek aktu straszliwej tragedii, wskazuje laską na skira podłości w ciele ludu. On to jeden zdawna przewidział. Teraz mu się nareszcie zdarzyła sposobność zemsty na „przeklętym pokoleniu” męczenników. Gdy dziś wygnilemi oczyma nędza nic nie widzi, a chuda jej ręka wyciąga pustą sakwę ku temu, kto ją napelni, jego pięknomówne usta jedynie plują w trup męczennika kołysany od wichru.

Młodości!

Wszystkiego dziedzicu!

O, pokolenie przyszłą wiosnę niosące!

Promień słoneczny po nocy, zza krawędzi mroku znowu wytryśnie.

Ciepły wiatr z południa powieje w trawy młode, we włosy i na lica dzieci wiejskich, po topielach dróg śpieszących do dalekich, biednych, zrzadka rozstawionych szkółek i ochron.

Rozkwitnie znowu wiśnia po sadach, w opłotkach brudnych wsi...

Zakuj się w żelazną zbroję woli, o młoda duszo! Niechaj twój umysł nie skażony naszymi błędami, zaryje się z uporem Hoene-Wrońskiego w „liczbę, metal, trupie ciało”.

Pokonaj wszystkie hasła, mamidła i etykiety, kołyskę twoją otaczające. Ustami tak miłosiernymi i tak niezblaganymi, jak usta Sakya-Muni zaprzysięgnij sobie poznanie siebie, które jest głównym sposobem do niezbędnego czynu: do przewyciężenia bezwładności duszy polskiej.

Bezprzykładna hańba naszego świata jest hańbą każdej jednostki. W twej zbiorowości musi się narodzić geniusz polskiej natury. Z twoich zastępów musi wyjść człowiek nasz, w jednej osobie Żółkiewski i Mickiewicz, od którego czynów i słowa rozradują się popioły, zadrzy lud jak długi i szeroki — i westchnie świat ku swemu Bogu.

Lecz nim ta potęga, dźwignia nowego żywota, pchnie ziemię leniwą, nim promień ten życie tworzący padnie w błotne namuliska po spuszczeniu głębokich wód, musi się głęboko wrzynać krzywy pług w płone nowizny. Niejedno ramię dostojnie musi ciągnąć szlę, jak koń, gdy braknie konia. Ze wszystkiego wyczuci na obszarze świata musimy wynaleźć nowy pracy gatunek. Jak ludzie dzicy z dwu kawałków drewna, które zostawi w naszych rękach los, musimy szalonym naszym entuzjazmem i niestrudzonym uporem wywiercić ogień nowy.

Niech się ocknie i pokaże dobosz nowej Pracy i nowej Sprawy!

Niech oczy nasze z tęsknoty zgorzałe zobaczą jego natchnione oblicze.

Niech bije głos jego pobudki w błony ran ledwie zawściągnięte, w jamy oczu wygnilych z łez, w srom ręki, ściskającej sakwę, gdy drży nagi plemienia duch, — i w najgłębsze pęknięcie polskiego serca. Niech tłumy swarliwy bełkot publiczny.

Nie chcemy, o nadchodząca dzielności, zająknąć się od narzucenia ci naszej woli, — ani ci schlebiać.

Tylko serca nasze drżą do tej wiary, że ty się nisko schylisz do czarnych stóp cierpiącego w ojczyźnie człowieka, a on cię pasować będzie na swego rycerza. A gdy się dźwigniesz i rozciągniesz ramiona, zedrzesz z dłoni rękawicę i ciśniesz ją z wyzwaniem na walkę do ostatniego tchu oszustwu, co w masce cnoty i prawa przechadza się po naszym świecie. Serca nasze drżą do tej wiary, że to ty wytępisz w duszach dufanie polskie w samochwalstwo i zmusisz do milczenia usta pochlebcy. Gdy ujmiesz w rękę żagiew prawdy, pójdziesz wbrew leniwym, bezwolnym, jałowym powzięciom tłumu, wbrew zaskorupiałym opiniom partyjnym, wbrew ufortyfikowanym obozom księży, szlachty, fabrykantów, robotników, chłopów i mieszczan.

Albowiem — kto się opiera o lud, nie jest z ludem. Kto jest z ludem, ten mu nie schlebia. Człowiek, co czci człowieka, opiera się tylko na sobie. Kto się opiera tylko na sobie, ten walczy aż do śmierci ze wszelkim mrokiem zalegającym odłamy, na które rozszarpał się naród. Kto nie drży przed podjęciem walki z tak rozszarpanym ideałem narodu, ten się bije o całego człowieka, o wolność ducha tęskniącego w cielesnym więzieniu i o święte widziadło wielkiego *Ludu* przyszłości.

Grudzień, 1907 r.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/slowo-o-bandosie>

Tekst opracowany na podstawie: Maurycy Zych, *Słowo o bandosie*, Skład Główny w Księgarni H. Althenberga we Lwowie, Drukarnia Wł. Teodorowicza w Krakowie, Kraków 1908.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: Alaskan Dude@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1056-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.